Nr. 14. We Lwowie dnia 8. kwietnia 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Ocknienie.

Dramat w 3-ch aktach

przez

Dr. Kazimierza Rakowskiego.

Nagrodzony zaszczytnem odznaczeniem na konkursie dramatycznym Wydziału krajowego 1900 roku*)

OSOBY:

1. Profesor *Bieńkowski*,
2. *Malwina*, jego żona.
3. *Gertruda*, jego córka.
4. *Wylotek*, żołnierz z 1871 r., domownik prof.
5. *Stanisławowa Bieńkowska*, bratowa profesora.
6. *Dziekan* w Księżopolu.
7. *Jan Malczewski*, sen., sąsiad Bieńkowskich z Księżopola.
8. *Tadeusz Malczewski*, iun. syn jego, praktykujący inżynier w Berlinie.
9. *Szymek Pawlik*, rzemieślnik-emigrant.
10. *Jełowicki*, student w Berlinie.
11. *Radca Baer*, z komisji kolonizacyjnej.
12. *Franciszka*, służąca u prof. Bieńkowskich.
13. *Józef*, służący w Księżopolu.
14. *Mateuszowa*, klucznica.
15. *Kelner*, w hotelu w Księżopolu.

Czas: *Teraźniejszość.*

Akt pierwszy: w Berlinie.

Akt drugi: w Księżopolu, w Księstwie Poznańskiem.

Akt trzeci: w Księżopolu.

*) Wobec scen prawa manuskryptu zastrzega się.

Akt I.

(Elegancko urządzony salon profesora).

SCENA I.

(Z drzwi, od kuchni prowadzących, wychodzi trochę podpity Wylotek. Były podoficer, zachował żołnierskie maniery w ruchach. Brwi nastroszone, twarz przepita ale dużo poczciwości w układzie rysów. Posuwa się od drzwi powoli).

Wylotek (spostrzegając, że nikogo niema) Ha! pozycja nie zajęta przez wroga. Ra-ta-ta-ta! Ra-ta-ta! (posuwa się, mrucząc marsza wojskowego i kieruje się do jadalnego pokoju). Tu będzie punkt obserwacyjny! (zagląda do jadalni). O, widzę ją — na kredensie stoi nieprzyjacielska baterja: raz, dwa, trzy, cztery flaszki: czysta, (cmokcze) ach! piołunówka — uh!; jarzębiaczek — ck.! i wiśniowa! (daje całus w powietrzu). A teraz ostrożnie! Baczność! Raz, dwa — do ataku! (chce przekroczyć próg, utkwiwszy oczy w butelki), Ra-ta-ta-ta! Ra-ta-ta!

Gertruda (nagle stając w progu jadalnego pokoju, ze śmiechem): Halt!

Wylotek (cofa się w tył — t. j. na przód sceny, ona idzie kilka kroków za nim) A tom się zląkł! (stając szybko w pozycji i salutując). Według rozkazu: Das ganze halt! Ra-ta-ta-ta — składam broń!

Gertruda. A czego to Wylotek chciał w jadalnym pokoju? — Wylotek milczy? wstydzi się? Bo już tyle dziś wypił, że w pozycji ustać nie może.

Wylotek (przybierając wojskową pozycję, wyciągnięty jak struna). Według rozkazu!

Gertruda. Wylotek chciał z kuchni zrobić wycieczkę do obozu nieprzyjacielskiego, aby znienacka opanować baterje, hę?

Wylotek. Według rozkazu!

Gertruda. A czy to Franciszka nie zaniosła dzisiaj Wylotkowi do kuchni kieliszka wiśniówki od mamy i kieliszka jarzębiaczku odemnie?

Wylotek. Niemra rozlała połowę przez drogę — nim doniosła. (Nagle zaczyna maszerować, mrucząc marsza). Ra-ta-ta-ta! Ra-ta-ta-ta!

Gertruda. A cóż to Wylotek dziś taki wesół? Pił dużo, jak widzę.

Wylotek. Dziś rocznica Sedanu! Wej, nasza kompanja, wszystko dzielne chłopy z Poznańskiego, szła w mury fortecy, a muzyka grała: ra-ta-ta-ta! — Ra-ta-ta-ta! Ojciec panienki pierwszy raz przed kompanją szedł w oficerskich szlifach, a ja u jego boku, wierny feldfebel. Muzyka gra: Ra-ta-ta-ta — a tu naraz: bums! z jednego okna pada na nas kamień. Patrzę — leci drugi. Byłby roztrzaskał głowę memu panu, gdybym pana był w porę nie szarpnął na bok.

Gertruda. A Wylotek niedawno opowiadał, że to było pod Paryżem?...

Wylotek. Pod Paryżem też było — według rozkazu. Tu raz i tam raz. I dlatego pan porucznik — (zatyka sobie usta ręką) — pan profesor, chciałem powiedzieć, nigdy mi nie daje jednego kieliszka, ale zawsze dwa!

Gertruda (ze śmiechem). No dobrze, już dobrze. Dam dwa. (Idzie do drugiego pokoju i wraca z dwoma kieliszkami. On wypija jeden po drugim).

Wylotek. To na zdrowie jednego — a to na zdrowie drugiego: żeby panienka, jak wyjdzie za mąż, miała dwóch tęgich zuchów. Ale muszą być polonusy, a nie szwaby. Jak pan porucznik — op! — pan profesor, chciałem powiedzieć, miał się żenić z mamą panienki, to ja, jak tu stoję, Wylotek Jakób z drugiego regimentu, czwartej kompanji księcia Anhalt Nr. 7., powiedziałem panu: to jest szarża na śmierć, lepiej sobie odrazu w łeb palnąć! — bo ona była Niemka. Ona wie o tem — i nie gniewa się na mnie. Ale że panienka mówi po polsku, to czyja zasługa? Hę? Dwadzieścia parę lat w kraju nie byliśmy, tylko furt między Niemcami... Ojciec nie dba, matka-niemka, i co by to było z mej panienki? Ale jakby panienka za Niemca miała wyjść, to (płacze) stary Wylotek w dzień ślubu w łeb sobie wypali.

Gertruda. Wylotek niech lepiej nie plecie.

Wylotek. Jakeśmy szli na Francuza, wej, przygrywała pruska muzyka wojskowa nasze narodowe pieśni... Jak teraz pamiętam: trąbią do wymarszu, a potem jak nie utną: „Jeszcze Polska nie zginęła“... Wej, jak przyszło do krwi rozlewu, to nasi szli w ogień, jak w tany. A muzyka grała...

Mój Boże! ja sobie myślałem, że pan wróci ze mną do Księżopola, a tu tymczasem nie... Lepiej zrobił brat pański, pan Stanisław, że został między swymi. A my już do kraju nie wrócili. Wej — tu w Berlinie — że tak blisko do kraju, parę godzin tylko, to mi się nieraz zdaje, że zalatują jakby zapachy naszych lasów...

Ale co ja będę panience opowiadał! Panienka naszych lasów, naszych błoni nie widziała!

Gertruda. To nic nie szkodzi. Niech Wylotek opowiada: ja tak lubię słuchać, jak Wylotek o Polsce opowiada.

Czy Zaprzaniec?

Urywek ze wspomnień powstańca

(3) napisał **B. A.**

Były to wogóle zacne osoby, oddające wielkie usługi powstaniu, lecz czasami i jaka awanturnica pomiędzy nich się wkradała.

Nieustraszona odwaga i przytomność umysłu wobec niebezpieczeństwa często pozwalały im się nietylko wykręcić z moskiewskiej matni, ale i wroga w błąd wprowadzić.

Do takich należała pani Wiśniewska i najtrudniejsze misje z uśmiechem na ustach spełniała. W kwietniu więc 1864 roku wyjechała z Moszenek do Lublina, aby mi stamtąd sprowadzić 12 rewolwerów i tyleż sztyletów, które naczelnik miasta miał jej wręczyć.

Około 10. w nocy pani W. powróciła, obładowana osobiście całym tym pakunkiem.

Dla ostrożności zaraz po przyjeździe wśród ciemnej nocy wynieśliśmy we dwoje z panią W. broń do ogrodu, gdzieśmy ją wraz z mojemi papierami pod jabłonią zakopali.

Późno w nocy położyliśmy się na spoczynek, a mianowicie pani W. w pokoju jadalnym na kanapie, ja zaś w salonie. Gospodarza, pana Wołowskiego, jak wspomniałem, nie było w domu. Zaledwie pierwszym snem zasnąłem, snem młodości, gdy nagły łoskot dobijających się ludzi do wszystkich drzwi i okien postawił mię na równe nogi, a w ciemnościach bezksiężycowej nocy dostrzegłem poza oknami sylwetki pik i baszłyków kozackich. Od krzyków moskiewskich: „otworzyć natychmiast!“ z wszelkiemi dodatkami o „buntowszczykach, miatieżnikach i maszennikach“ dom cały trząsł się w posadach.

Oswojony już niejednokrotnie z podobnemi napaściami, z których los szczęśliwie mię wybawiał, nie straciłem przytomności, lecz korzystając z czasu, gdy kobiety, śpiące po drugiej stronie domu, Moskalom otwierały, zebrałem w jednej chwili pościel z kanapki, na której spałem, wraz z ubraniem i przeniosłem to wszystko na łóżko nieobecnego gospodarza do sąsiedniego pokoju. Zaledwie miałem czas łóżko rozrzucić, tak, aby wyglądało, że na niem spałem, gdy od strony pokoju gospodyni usłyszałem już krzyki Moskali, a postąpiwszy parę kroków, natknąłem się w pokoiku z rupieciami na oficera z rewolwerem

Wylotek (ogląda się wokoło). Pan się gniewa o to.

Gertruda. Bo on mówi, że teraz się wszystko zmieniło i teraz jest inaczej.

Wylotek. Gdzie tam się zmieniło! Panienko — wszędzie wszystko się zmieni, ale w naszym kraju nic się nie zmieni nigdy. Ale on nie chce, żeby z panienki była dobra Polka... Co by to było z panienki, gdyby nie Wylotek! A jak Wylotek umrze, albo jak się rozpije, albo jak go pan profesor wypędzi, to z panienki będzie taka Niema, taka u — u — u...

Gertruda. Niech się Wylotek nie boi. O, ktoś idzie. (Wylotek wyprostowany po żołniersku staje, patrząc na drzwi. Wchodzi Tadeusz Malczewski).

SCENA II.

Gertruda. Pan, Pan dziś u nas?

Malczewski. Czy to panią dziwi? (serdecznie ściska jej rękę). Czyż nie mówiłem pani ostatnią razą, że wybieram się specjalnie do profesora z wizytą?

Gertruda. Tak — tak. Ale wie pan; choć to mi jest bardzo miło, ale podczas pierwszych oficjalnych spotkań z panem u nas, to aż ognie na mnie biją. Trzeba odgrywać komedję — trzymać się zdala... A nuż się czasem co wyrwie.

Ot, naprzykład, ładną by minę zrobiła moja mama, gdyby słyszała, jak ja tak sobie z panem rozmawiam...

Malczewski. No — niema niebezpieczeństwa — Przy świadku przecież! — (Tymczasem Wylotek przy butelkach i wypił dwa kieliszki. Słysząc, że o nim mowa, nagle wraca i staje w pozycji).

Gertruda. A — ten świadek się nie liczy. Mama mnie i jego zawsze nazywa spiskowcami.

Malczewski. A to zapewne ten stary weteran któremu zawdzięcza pani swoją polską duszę?

Gertruda. Tak jest.

Malczewski (podając mu rękę). Jak się pan ma, panie sierżancie!

Wylotek. Według rozkazu! (idzie i ostentacyjnie staje przy drzwiach na czatach. Gertruda, widząc jego minę i wyciągniętą szyję, wybucha śmiechem).

Gertruda. Wylotek! Co Wylotek robi!

Wylotek. Stoję na wedecie — aby ostrzegać o nadejściu nieprzyjaciela.

Gertruda. Dziś mama zapewne pana nie przyjmie, bo się ubiera — właśnie mamy wyjść na spacer. A mnie — nie wypada! Ha, ha, ha! (wyciąga doń rękę i wskazuje na Wylotka): Niech mu pan powie, że pański ojciec sąsiaduje z Księżopolem, to poczciwy Wylotek gotów przed panem maszerować, jak na wielkiej rewji.

(Wybiega).

SCENA III.

Malczewski. Panie Wylotek, podobno my z tych samych stron pochodzimy?

Wylotek. Jakto?

Malczewski. No, ja z Bogdanówki, co sąsiaduje z Księżopolem: Malczewski.

Wylotek. Kreuzhimmeldonnerwetter! I pan mi tego odrazu nie mówi!!

Malczewski (śmieje się serdecznie). Dopierom się teraz dowiedział od panny Gertrudy, że pan z tamtych stron pochodzi.

Wylotek. Dałżeby Pan Bóg, żebym ja dożył jeszcze tego czasu, jak moja panienka przy pańskim boku do Bogdanówki zajedzie!

Oto byłoby wesele: ra-ta-ta-ta.! C. d. n.

---

w ręku, poprzedzonego przez dwóch kozaków, z pochylonemi ku mnie karabinkami, gotowymi do strzału.

„Aaa... pan Wołowski! wszak to wy pan Wołowski, ja wam pokażę, jak to przechowywać buntowników! Zaraz mię prowadzić! zrobimy rewizję!“ Na słowa te, wymówione po moskiewsku przez zaczerwienionego opoja, zawahałem się, czy nie zawierają one jakiego podstępu, lecz on mi nie dał przyjść do słowa, krzycząc, wymyślając i powtarzając ciągle, że ja jestem panem Wołowskim. Podczas tego kozacy przewracali wszystko, co było pod ręką: szafy, kufry, łóżko i t. d. Ja milczałem zdziwiony, gdy znowu dowódca bandy, przerzucając książki bibljoteczki właściciela, odłożył parę romansów francuskich na bok, a posławszy na chwilę kozaków do drugiego pokoju, odezwał się do mnie półgłosem z naciskiem, po polsku: „Pan jest Wołowskim! — po co te książki trzymać“? — A potem znowu narobił hałasu, zabierając owe książki francuskie, jakoby dowody mej zbrodni.

Huknął tymczasem: „Czaju! pan Wołowski, wódki dla żołnierzy!“

Przetrząśnięto wszystko w całym domu, lecz oprócz romansów, których nie rozumiał, nic zbrodniczego nie znalazł. Gospodyni zakrzątnęła się koło herbaty, a ja osobiście na żądanie dowódcy, poszedłem do nieznanego mi lamusu, aby natoczyć wódki i napoić nią żołdactwo.

Przekonałem się wtedy naocznie, że oddział, w którego ręku byliśmy, składał się z 20. mniej więcej kozaków, a dowódcą ich nie był żaden oficer, lecz osławiony inspektor policji lubelskiej, zaprzaniec, Jackowski, który dla karjery wraz z rodziną carosławje przyjął!

Zdumienie moje i niedowierzanie tem więcej wzrosły, lecz nie tracąc zimnej krwi, grałem dalej rolę gospodarza, upajając Moskali wódką, a popijąc herbatę z arakiem z ich dowódcą.

Tymczasem pan inspektor przewracał książki, wymyślał na bunt po moskiewsku, a kozacy jego przetrząsali wszystko w kuchni i na folwarku. Była chwila, iż kozaka, stojącego przy drzwiach, wysłał pod jakimś pretekstem, a do mnie półgłosem, odsuwając książki, które mu się wydawały podejrzane, odezwał się po polsku: „Schować to“.

(C. d. n.).

Polacy w Berlinie.

III.. Po za obrębem organizacji, która w postaci komitetu Towarzystw polskich w Berlinie przedstawia pewną jednolitą całość, istnieją rozmaite grupy i kółka w luźnym, lub żadnym nie pozostające związku z połączonemi towarzystwami.

Wymienić tu w pierwszej linji należy studentów polskich, których przebywająca w Berlinie spora gromadka poważny przedstawia czynnik w życiu kolonji polskiej.

Przed kilkunastu laty założone „Towarzystwo naukowe Polaków w Berlinie“, z natury rzeczy zajęło uprzywilejowane miejsce wśród towarzystw, gromadząc największy zasób inteligencji. Wszystkie inne towarzystwa zgłaszały się do akademickiego po prelegentów; wywołało to styczność Towarzystwa Naukowego z resztą towarzystw, — styczność, ujętą wreszcie w pewne stałe formy. Policja pruska, która już przed dziesięciu laty, a więc w czasach, gdy o jakiejśkolwiek poważnej pracy dla dobra kolonji polskiej nikomu się ani śniło, pilnie śledziła wszelkie przejawy życia towarzyskiego kolonji, postarała się u władz naukowych o rozporządzenia, zapomocą których chciała przeciąć wszelkie nici, łączące akademików z ogółem kolonji polskiej. Istniejące pod jurysdykcją politechnicznego wyższego zakładu naukowego towarzystwo „Techne“ zostało bez podania specjalnych motywów rozwiązane. Inaczej się stało z „Towarzystwem Naukowem“. Towarzystwo to posiadało statuty, zatwierdzone przez policję, a pod jurysdykcją władz uniwersyteckich nie pozostawało, można je zatem było rozwiązać chyba tylko za jakieś przekroczenie statutów.

Przez półtora roku, jak się okazało później, czyniła policja pruska daremne zabiegi, aby zgromadzić materjał, na mocy którego mogłaby towarzystwo rozwiązać, a gdy się jej to nie udało — innego sposobu się chwyciła, który można nazwać typowym przykładem obchodzenia konstytucji. Podług istniejących praw, każde towarzystwo obowiązane jest do zakomunikowania policji imiennej listy członków zarządu. Otóż listę tę komunikowała policja władzy uniwersyteckiej, ta zaś już imienne zakazy wydawała przeciw akademikom, którzy do zarządu należeli. Ponieważ procedura ta przy formalistyce pruskiej trwała 3—5 miesięcy, a zatem towarzystwo urządzało się w bardzo prosty sposób: na miejsce ustępującego zarządu wybierano nowy zarząd, po przepisanych prawem 14 dniach komunikowano nazwiska nowowybranych policji, tu przechodziły one przez szereg departamentów, po paru miesiącach dostawały się do sekretarjatu uniwersyteckiego, gdzie po zbadaniu sprawy postanawiano nakazać interesowanym osobom wystąpić, przechodził tymczasem miesiąc, zanim zawezwano je do rektoratu, następnie dawano 8 dni czasu do namysłu. Gdy już dłużej sprawy przeciągnąć nie było można, obierano w Towarzystwie nowy zarząd i zaczynała się ta sama procedura *da capo*.

Częste jednak zmiany zarządu nie mogły korzystnie wpłynąć na rozwój Towarzystwa tak, iż od szeregu lat anemiczny wiedzie żywot.

Studenci polscy w Berlinie nie stanowią wogóle zjednoczonej, zwartej falangi. Nie mówiąc już o tych, którzy chodzą „w pojedynkę“, nie szukając towarzystwa kolegów, na stosunkach między studentami Polakami znać wpływ pochodzenia z rozmaitych prowincyj. Przybyli z Królestwa studenci mieszkają zazwyczaj po dwóch, po trzech, na „Poznańczyków“ patrzą z pewną zupełnie zresztą nieuzasadnioną wyższością, w każdem towarzystwie, przy każdej styczności z kolegami reprezentują niezmiernie żywy i ruchliwy czynnik reformatorski, na zewnętrzną stronę, na pozory nie zwracają uwagi, mieszkają ze spartańską skromnością, są bardzo koleżeńscy i pracowici, namiętnie palą papierosy i przeklinają Berlin, że brakuje w nim gilz i maszynek do robienia papierosów, świetnie grywają w winta, nie dadzą sobie żadnemu profesorowi zaimponować uczonością i najczęściej, mając lat osiemnaście, przyjeżdżają już z „gotowemi przekonaniami“; są wiecznie ze sobą w rachunkach, do rozpaczy przyprowadzają restauratorów, nie chcąc pić piwa i prowadząc tak głośne dysputy, że cała sala oczy tylko na nich ma zwrócone; w sprawach honorowych z nimi rzecz trudna, bo rządzą się każdy „swoim“ kodeksem.

Studenci z Poznańskiego zaś odznaczają się wręcz odmienną naturą. Nie pochopni do żarliwych dyskusji, dążący do tego. aby być „correct“ zarówno w ubraniu, jak i w każdym czynie; niezbyt łatwi w zawieraniu bliskich znajomości, unikający wchodzenia w stosunki pieniężne z kolegami; natury spokojne, raczej zamknięte w sobie, niż wylane, łatwo się zrażające pozorami, mniej polegają na zdolnościach, więcej na powolnej, równomiernej pracy; bez wielkiego kryterjum w sprawach społecznych, ale też bez wygórowanego mniemania o własnej nieomylności.

Przybysze z Królestwa uczęszczają zazwyczaj do politechniki (w Charlottenburgu), Poznańczycy zaś do uniwersytetu (w Berlinie) i w ten sposób więc wytwarza się jeden punkt styczności mniej.

Jak jedni, tak i drudzy są w życiu kolonji polskiej w Berlinie bardzo dodatnim czynnikiem — jakkolwiek ubolewać należy nad tem, że nie

zdołała się wyrobić między nimi jakaśkolwiek duchowa spójność.

Zupełnie na uboczu życia kolonji polskiej w Berlinie stoi grupa socjalnych demokratów. Nieliczna ich garstka jest ową „bête noire“, którą się pomawia — i nie bez słuszności — o chęć rozbicia kolonji polskiej i zniweczenia wszelkich dodatnich wyników jej pracy.

Dotychczasowe usiłowania tej grupy spełzły absolutnie na niczem, głównie dzięki stanowisku, jakie niemieckie stronnictwo tej barwy zajęło wobec sprawy polskiej w Niemczech. Stronnictwo to oświadczyło się (zdaje się, na zjeździe w Rybniku w r. 1897), prawie że z sympatjami dla systemu germanizacyjnego, a tem samem podcięło i uniemożliwiło propagandę wśród polskiego społeczeństwa. To też przedstawiciele doktryny tej wśród kolonji polskiej w Berlinie, gdzie hasło walki z germanizacją rozbrzmiewa nawet donośniej, niż w samem Poznańskiem, nie mają żadnego praktycznego znaczenia, chyba teoretyczne, jako reprezentanci pewnego dziś w Niemczech bardzo silnego odłamu politycznego.

Dla uzupełnienia obrazu części składowych kolonji polskiej w Berlinie wypada wspomnieć wreszcie i o inteligencji, stale przebywającej w Berlinie i o posłach polskich do sejmu i parlamentu.

Zamieszkała w Berlinie inteligencja polska nie jest liczną, a składa się albo z ludzi zamożnych, a nawet bardzo bogatych, którzy tu wśród komfortu wielkomiejskiego pędzą przyjemne życie, albo z zależnych pod względem politycznym urzędników wszelkiego rodzaju.

Wobec takiego składu inteligencji nic dziwnego, że niebardzo miesza się ona do życia kolonji polskiej, na wiece nie uczęszcza, na posiedzenia towarzystw, jeśli przybywa od czasu do czasu, to niejako pod przymusem moralnym. Przed 5—6 laty i dawniej inteligencja miejscowa była w pewnych stosunkach z „Towarzystwem Naukowem Polaków w Berlinie“. Gdy jednak na tle ukrytego antagonizmu „Królewiaków“ i „Poznańczyków“ rozpoczęły się rozmaite niesnaski, a w rezultacie wyłonił się z nich miljon spraw honorowych, sądów honorowych, zajść niemiłych i drażliwych sytuacji, odsunęło się i od tego Towarzystwa kilka domów polskich.

Wobec tego często spotkać się można z zarzutami przeciw inteligencji polskiej, że nie zajmuje się sprawami kolonji miejscowej. Zarzut ten spotyka i posłów — a nie dawniej przecie, jak na ostatnim wiecu, odczytano przeciw nim ostrą rezolucję.

Trudno odmówić słuszności zapatrywaniu, że tam, gdzie chodzi o sprawę społeczną, ogólną, na bok powinny ustąpić względy prywatnej natury, lecz — z drugiej strony — trudno nie przyznać inteligencji miejscowej i posłom, że wobec kolonji polskiej w trudnem znajdują się położeniu, gdyż, pominąwszy już powyżej omówione przeszkody, istnieje pewna okoliczność, wskutek której do pożądanego udziału inteligencji w pracach ogółu kolonji nigdy zapewne nie dojdzie, chyba że przekształcą się cokolwiek stosunki społeczne w Poznańskiem, skąd ta inteligencja pochodzi, i w samejże kolonji polskiej.

Zarówno inteligencja miejscowa, jak i posłowie przyzwyczajeni są w kraju do tego, że stosunek ich do zebrań ludowych jest — *mutatis-mutandis* — stosunkiem przewodniczącego do członków, stosunkiem nauczyciela do uczniów. Inteligencja ta i ci posłowie wyrośli wśród tych stosunków i odwyknąć od nich nie mogą. W Berlinie zaś współudział ich trafia na grunt zupełnie inny. Nie przypominam sobie ani jednego zebrania, ani jednego wiecu, na którymby nie odzywały się z łona tego, „pożądającego współudziału inteligencji“ ogółu, głosy bardzo radykalne, zwrócone wprost przeciw inteligencji, lub przeciw zaproszonym posłom, choćby obecnym i to w formie troszkę... nieokrzesanej. Kolonja polska w Berlinie posiada zadużo osobistości, które nie mając żadnego wykształcenia i żadnych innych kwalifikacji osobistych, nie omijają żadnej sposobności, aby wystąpić w roli „trybunów ludu“ i przejechać się po inteligencji, po posłach, aby z oratorskiem biciem się w piersi zapewnić, że „dopiero od nich zaczyna się przyszłość narodu“; jedynie oni są nieomylni, podług ich wskazówek powinna postępować inteligencja, a będzie dobrze; są tak mądrzy, że żaden argument do ich przekonania nie trafi, bo mają w zapasie inny, mądrzejszy; — a tak taktowni, że na publicznem zebraniu gotowi wyrzuty robić pod adresem i w obecności kierowników spółki oszczędnościowej „Skarbony“, że na to ją założyli, aby sute pensje pobierać, (choć ci panowie bezinteresownie pracowali przez półtora roku, tj., aż do chwili, gdy zaczęto osiągać zyski). To każdego zraża i nic w tem dziwnego, bo trzebaby mieć chyba anielską wyrozumiałość, lub dyktatorską powagę ks. Wawrzyniaka, wobec którego jednego wszyscy ci krzykacze siedzą cicho, jak trusie, aby będąc najliberalniejszych choćby przekonań, nie wyjść, trzasnąwszy drzwiami, i nie powiedzieć sobie: „A pal was kaci!“; i nie pokazać się więcej.

I ci ludzie nie są jednak wcale tak źli, lub zarozumiali, albo nietaktowni, jak się wydaje, — lecz trzeba by do nich zastosować specjalną metodę obłaskawienia, której teraźniejsze pokolenie inteligencji, niestety, nie umie.

A szkoda, bo z nielicznymi wyjątkami wyborny to materjał — ten przeciętny berliński Polak, — materjał, z którego by można dla kraju tysięczne korzyści osiągnąć.

R.

Z Syberji i Kamczatki.

Gerwazy Gzowski.

Gerwazy Gzowski, którego bjografję krótką podaję dzisiaj, uczczony był na Syberji mianem idealnego kupca i obywatela, a także nosił nazwę „poety czynu“, i słusznie, bo w jego działalności, nawet codziennego życia, było więcej poezji prawdziwej, szczerej, niż w wielu utworach muzy danej chwili, „najpoetyczniejszych“. Gerwazy nie był kupcem z zawodu, lecz wybrał to zajęcie podczas dwukrotnego, przymusowego pobytu na obczyźnie, ażeby w ten sposób zapewnić sobie środki do skromnej egzystencji i ażeby módz przytem nieść pomoc skuteczną ziomkom na wygnaniu i wszystkim biednym i nieszczęśliwym, jakich napotkał w swojem otoczeniu.

„Ojciec Gerwazy“, jak go zwykle nazywano, należał do owych „starych sybiraków“, których nazwiska były dobrze znane u nas w kraju, mianowicie pokoleniom, spoczywającym już dzisiaj w grobie; również były one znane generacjom starszym, z pomiędzy mieszkańców wschodniej Syberji. Gdyśmy przybyli do Daurji, zastaliśmy tam wspomnienia o nich zupełnie jeszcze świeże, jak gdyby przed chwilą tylko pożegnali kraj, gdzie tak piękną pamięć zostawili po sobie. Z ust tamtejszych mieszkańców słyszeliśmy często opowiadania o ich czynach szlachetnych, o ich życiu wzorowem.

Bopre (Beaupré), Brynk i jego żona Kazimira, Dalewscy: Aleksander i Franciszek, Erenberg (Ehrenberg), Giller Agaton, Gruszecki Michał, Gzowski Gerwazy, Hofmeister Apolinary, Krajewscy: Aleksander i Henryk, Migurska Albina, Podlewski Karol i jego żona z Brynków Józefa, Wałeccy: Antoni, Józef i Zygmunt*), Wężyk Aleksander, Wejsztord Paweł**), Więckowski Władysław i jego żona z Winnickich Kazimira, Wysocki Piotr, etc., etc., znani byli osobiście mieszkańcom porzecza Onona. Wspomnienia o nich dawały zawsze temat niewyczerpany do rozmów w towarzystwach tamtejszych.

W domu pułkownika Chiłkowskiego, potomka konfederata barskiego, w domach kupiectwa daurskiego: Razgildiejewych, Istominych i sukcesorów Kańdińskich, w domach wykształceńszych kozaków i włościan: Timofiejewych, Sileńskich, Perfiljewych, Szczegłowych, mówiono o wygnańcach, jak o blizkich krewnych, jak o przyjaciołach serdecznych. Pani Balaçon, pani Kuszczyńska, obie córki pułkownika Chiłkowskiego, szczyciły się mianem uczenic Erenberga, przyjęły nawet akcent, właściwy Polakom, mówiącym po rosyjsku. W ogóle wychowanie młodzieży tamtejszej zawdzięczano podówczas wygnańcom naszym, również ich wpływom przypisać należy owe objawy myśli szlachetniejszych, sposobu życie moralniejszego, napotykanych podówczas w Daurji. Jak niedawne to czasy, a wszakże, jak już dalekiemi są one od nas dzisiaj. Takich charakterów spiżowych, takiej uczciwości nieposzlakowanej, takich serc, miłujących ojczyznę i ludzkość, takiej siły poświęcenia dla dobra bliźnich, dla idei wzniosłych dzisiaj trzeba już prawie szukać, jak powiadają sybiracy: „i dniom s agniom“. Zmieniło się i zmienia wszystko dokoła nas, „dziś inne zwyczaje, inne dążności i inne środki działania“. Inaczej też na nas patrzą i nasi wrogowie. Gerwazy Gzowski, wraz z całym szeregiem towarzyszy, należał do rzędu działaczy politycznych, których godłem było poświęcenie — myśli swoich, mienia, wolności i życia dla ojczyzny i ludzkości. „Przez krew i żelazo wiedzie droga do wolności narodów“ — powiadali oni — „a nie przez bogactwo i wykształcenie zawodowe“. „Jeżeli człowieka, albo i całych narodów nie pobudza nic do wyższych, wznioślejszych uczuć, nad ciasny egoistyczny dobrobyt rodzinny, to materjalne powodzenie działa zwykle niekorzystnie, bo zasypiać pozwala najszlachetniejszym przymiotom duszy; te ostatnie są podobne do rośliny, którą uprawiać trzeba umiejętnie, bezustannie, jeżeli się chce doczekać płodów należytych, a nie dają się one porównać do biletów bankowych, które, gdy na razie są nam niepotrzebne, chować możemy do pularesów, ażeby módz je w każdej chwili wydostać i puścić w obieg.

Raz uschłe kwiaty, do życia już wrócić nie mogą“. „Narody, które żyć pragną, muszą wierzyć, że żyć mogą, muszą z łona swego wykrzesać pewność, że silna wola, że wytrwała praca skruszyć potrafią najmocniejsze okowy“. Z takiemi poglądami i przekonaniami takiemi, pracowali oni na niwie wolności, szczerze, wytrwale, mając ciągle, nieustannie ojczyznę na myśli.

Gerwazy Gzowski posiadał wszystkie zalety i cnoty „starych sybiraków“: energiczny i stanowczy w polityce, w życiu prywatnem nieska-

*) Ten ostatni zginął już za naszych czasów, w 1865 r., zabity ręką zbójcy, przewoźnika na promie rzeki Ingody, w pobliżu Horodyszcza.

**) Nowogrodzianin, uczeń mińskiego gimnazjum. Karanie barbarzyńskie, jakie wykonano na gimnazjalistach mińskich, wskutek procesu Wejsztorda, oburzyły całe miasto i wywołały wręcz przeciwne skutki, niż te, których się spodziewali siepacze.

zitelnej uczciwości, łagodny, wyrozumiały, przyjacielski, starał się zawsze nieść pomoc tym, którzy jej potrzebowali; służył każdemu: dobrą radą, wsparciem materjalnem, nauczał i świecił przykładem pracowitego i wzorowego życia. On nie przypuszczał nawet, ażeby Polak mógł się zhańbić nieszlachetnym jakim czynem.

Drobnego wzrostu, wątłej budowy ciała, posiadał Gerwazy za to duszę hartowną i wielkie serce. Bujny zarost na twarzy, oczy niebieskie, marzące, czoło wysokie, łagodny wyraz lica znamianowały jego stronę fizyczną. Miał on w sobie coś tak pociągającego, że każdy przystępował do niego z zupełną ufnością, jakby do dobrze znanego swego przyjaciela. Gerwazy Gzowski był synem zamożnej rodziny ziemiańskiej z Płockiego, z okolic Pułtuska; przyszedł na świat w r. 1813; wychowywał się na wsi. Po ukończeniu gimnazjum studjował prawo. W roku 1840 należał do stowarzyszenia politycznego.

D. c. n.

Dr. B. Dybowski.



Z legendy góralskiej...

Swiatem szli, Pan Jezus i św. Piotr. I przyszli w Tatry, góry polskie, z których widać w równinę na dwadzieścia mil.

Na hali, pod lasem, spotkali owce liczne i właściciela, dobrego i l u t o ś c i w e g o gazdę. Ten w poczciwości swojej podarował zgłodniałym podróżnym dobre i małe jagnię.

Tedy Pan Jezus, oddawszy jagnię Piotrowi, tak mówił:

„Aby się przypatrzeć ludziom, pójdę w świat na chwilę, a ty zostań i przygotuj je“.

I poszedł, a Piotr czynił, jako mu Pan kazał.

Krzemieńcem iskier dobył i podpalił kosówkę zeschłą, aż ogień sypnął, a błękitny dym jął płynąć w górę.

Potem wziął jagnię i nad ogniem trzymał.

...I pokusa nań spadła zjeść płucka i serce...

A gdy ukazał się wreszcie Pan Jezus, dobry i pełen łagodności, Piotr apostoł jagnię wyjął i położył przed Panem, aby jedli.

Ale Pan Jezus odrazu mówił: „Gdzie płucka, Piotrze?!“

Na które słowa, Piotr prędko odpowiadał: „Panie, nie widziałem płucek, nie było serca“.

Więc siedli, a Pan Jezus milczał.

Zjedli jagnię, a potem szli w górę, ku głazom, co turnie tworzą, w ten świat, gdzie kamień na kamieniu.

Nagle na ziemi ukazał się skarb wielki.

Było tam złoto błyszczące, było brylantów, jako piasku, było srebra i żelaza moc.

Jął tedy Pan Jezus skarb dzielić i utworzył trzy kupki. Jedną, drugą i trzecią. Każda była drugiej równa, a podobna do siebie, jak owies do owsa.

A Piotr pytał Pana: „Panie, dwóch nas. Co zacz więc znaczy ta ostatnia kupka“?

Na co spokojnie Pan mówił: „Kupkę, kto płucka zjadł, dostanie“.

Wtedy prędko jął mówić Piotr, jako on płucka zjadł, a tak mówił gorąco, jako przedtem zaprzeczał. I zgarnął obie kupki i zakopał w ziemi.

Zaś Jezus, miłościwy Pan, wziął swoją i rzucił między ludzi, w daleki świat, na wszystkie trony.

* * *

Tam na Tomanowej, w Tatrach cudnych, jest część skarbu Piotrowego.

Część owych dwóch części.

Bo Jezus, dobry Pan, nad skarbem czynił znaki, podczas gdy Piotr skarb skrywał, a w znakach był rozkaz.

I w jednej chwili rozpuściło się srebro w krzemieńcu Pysznej, klejnoty i złoto wpłynęły w granity Krywania, a żelazo w opokę Tomanowej.

To żelazo, co brzydkim i cisawym kamieniem będąc, w ogniu trzymane, rudę płodzi, co droższe jest nad złoto.

To żelazo, z którego powstaje pług, co ziemię - matkę orze i miecz, co tej ziemi - matki broni.

Co zgryzotą jest człowieka i jego potęgą, co hańbą jego i dumą.

Tam ponad lasem, wysoko, po nad wodą Smreczyńskiego stawku, jest część z dwóch części... kopalnia żelaza.

Ludzie dawno przestali na Tomanowej kopać rudę żelazną, Piotrową.

Ona zło niesie. Ona nędzę niesie i kłamstwo. Ona złego i fałszywego brzęku, a Jezusowe żelazo, ręką Pana rozsiane, jedynie dobre i uczciwe. Górale dawno przestali kopać rudę, żelazną, Piotrową.

Ale zapóźno.

Jedna i druga się pomieszały, a nie rozróżnisz ich. Nie rozróżnisz i nie oddzielisz i nie zakopiesz nazad, aby zło znikło i fałsz wszelki, co z łakomstwa płynie....

Zakopane w marcu.

Limanowski Mieczysław.

Z pism i książek.

Promień. nr. 4. Najświeższy zeszyt *Promienia*, pisma, poświęconego sprawom młodzieży szkolnej, o którem niejednokrotnie była już mowa na tem miejscu, robi wrażenie prawdziwie kwietniowe, tyle w nim ciepła i blasków wiosennych. Jak trubadur od powitania dam, tak Redakcja zaczyna od pokłonu Kościuszkowskiemu powstaniu. Do rewolucji, co pasowała na rycerzy Bartoszów i Kilińskich, biją młode serca. Uczucie nie pozbawia ich wszakże krytycyzmu. I dobrze!

Promień żalu żal ma także swoje promienie, brylantowe, od ognia gorętsze -- promień żalu ogarnia dalej świeżą mogiłę Polaka - obywatela, którego ciało spoczęło śród obcych, chociaż duch w kraju zawsze przebywał, — i stara się rozgrzać ciepłą pieszczotą skały północy.

Dalej sieją się promienie jasne, ale chłodniejsze. Rozprawka: *Samouctwo socjologiczne* podaje zwięzłą ocenę dzieł swojskich i obcych z zakresu socjologji i nauk pomocniczych. Artykuł o wychowaniu kobiet omawia braki, wypływające z jednostronnego kształcenia umysłu i serca dziewcząt w klasztornych zwłaszcza szkołach żeńskich. Godnym uznania objektywizmem tchnie obrona demonstracji na technice, którą młodzież reagowała na haniebne i hańbiące zachowanie się prof. Thulliego podczas wyborów.

Wtem znowu paf! cały pęk żarzących promieni strzela z artykułu A. Wirchonia p. t. »Przyczynek do charakterystyki ludu na Podhalu«. Autor, jakkolwiek od wirchów imię swoje wyprowadza, miłością serdeczną niziny ludzkiego życia ogarnia, ich łzy i ból w kryształową czarę swego serca bierze. I dla tego w tak wzruszający sposób umie mówić o »nędzy, która rozszalała dzisiaj ned chatą wieśniaka, która lud, jako szkodliwe i złe ziele wygryza z ojczystego zagonu. . jak złowrogie widmo przyświeca dziecku, przychodzącemu na barłogu na świat i jako gromnica świeci starcowi, idącemu w grób«... Dla tego też zrozumiał i ocenił, jak dotąd żaden z krytyków, znaczenie społeczne i artystyczne utworów Orkana, przypominających piękny a posępny zmierzch. Oto co mówi o książce,*) która wywołała w nim tyle uczuć i myśli tyle:

»Wszystkie te, na pozór potargane szkice i drobiazgi, tworzą razem pewną harmonijną całość.

»Poeta przenosi myśl czytelnika w świat kęp, jałowców, ugorów, na łono natury dzikiej, nie dla każdego znanej, a która jako tło, nadaje szkicom pewnego kolorytu.

»Dalej język oryginalny, ożywiony, świeży, nastrojony na dziwnie smętny, właściwy Orkanowi ton, utrzymuje ciągle czytelnika na pewnym poziomie, w pewnej równowadze i smętnej zadumie.

»Ale nawet w samym układzie jest artystyczna całość.

»Naprzód poeta przesuwa przed naszemi oczyma pojedyncze sylwetki, rzuca szkice i jak biegły grajek na każdej strunie z osobna wygrywa jedną i tę samą melodję smętną -- tak w końcu dostraja wszystkie struny do akordu i tworzy wspólną harmonję dźwięków.

»Naprzód odtwarza duszę chłopa, chłopa — nad urwiskiem, a w końcu duszę całego plemienia, duszę całej tej szarej rzeszy pracowników — nad otchłanią.

»A po nad tą symfonją płaczu, utyskiwań, jęku — góruje zbolała dusza poety, która ukochała tę ziemię nieszczęsną i jej smutne dzieci, a gdy już bólu w sobie zdusić nie może, wtedy od czasu do czasu wybucha rzewnym płaczem:

Tę krainę kęp i wiecznej nędzy
Okryły mgły
I osnuły nakształt lotnej przędzy;
Polne krzewy i drzewa i chaty
Zaodziały w płaszcz haftem bogaty
W przedziwne szwy..
Tę krainę spowiły przędzidła
Na długie sny..
Mróz opalił lekkie ptasząt skrzydła —
I pomilkli w gąszczach ptacy leśni..
Płacze słychać ciche, zamiast pieśni —
Tę krainę smutków i niedoli
Zamroził ból...

O dziale obfitym korespondencji, które zdobiły *Promień*, nie wiele można powiedzieć, c. k. prokuratorja zostawiła z nich bowiem jeno strzępy, oszczędziwszy jedną tylko, z Kijowa, omawiającą miejscowe stosunki szkolne Dziwna rzecz: od dłuższego już czasu każdy nr. *Promienia* bywa konfiskowany, równocześnie z tem pismo rozwija się coraz lepiej pod każdym względem. Miałżeby między temi równorzędnemi zjawiskami zachodzić jaki stosunek przyczynowości?...

M.

*) Władysław Orkan: „Nad urwiskiem“ szkice i obrazki 1900.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.